

# Tokarczuk zakazałaby Polakom słowa "solidarność", ale pieniądze by wzięła



Nie żeby mnie to jakoś szczególnie dziwiło, ale nie ukrywam, że mnie irytuje. Otóż Olga Tokarczuk, która publicznie nazywa Polaków „kolonizatorami, właścicielami niewolników i mordercami Żydów” skarży się w wywiadzie dla Polityki [cytowanym z satysfakcją przez stronę Gazeta.pl](https://www.gazeta.pl/gazeta/1,13853,17811000,00.html) na odbieranie jej dofinansowania państwa do jej zagranicznych wojaży. A żeby nie pozostawić wątpliwości co do swojego stosunku do Polaków mówi między innymi:

***„...Piękne słowo 'solidarność' obtłuczono i pobrudzono. Zakazałabym jego używania na dwa pokolenia społeczeństwu, które odmówiło pomocy uchodźcom (...). Uznaliśmy, że nikt obcy nie jest nam tu potrzebny; będziemy grillować sobie sami i we własnym gronie... To pokazało tkwiące w nas mechanizmy ksenofobii. Ja nazywam to zimnym sercem, czyli brakiem albo zanikiem umiejętności współodczuwania...”***

Pozostawię na boku analizę wyobrażenia Olgi Tokarczuk na temat polskiej solidarności, która pozwala Polakom przyjmować u siebie, jak twierdzi ambasador Ukrainy w Polsce, miliona imigrantów z Ukrainy. Nie będę po raz setny tłumaczył, że najpierw mamy obowiązek zadbać o własne rodziny, przyjaciół, własny naród, a dopiero potem o inne narody. To wszystko zostało już powiedziane po wielokroć i jeśli ktoś tego nie rozumie, to nie ma dla niego ratunku. Skupię się na jej pretensjach dotyczących „nie dawania kasy przez państwo”.

Otóż podobno na kwiecień Olga Tokarczuk zaplanowała wyjazd na literacki festiwal PEN World Voices w Nowym Jorku, ale gdy już była w drodze, cofnięto jej państwowe dofinansowanie. Wtedy udało się znaleźć amerykańskiego sponsora. Za to na festiwal w ukraińskiej Winnicy już nie pojechała. I jest to powodem, dla którego podejrzewa nowe kierownictwo Instytutu Książki o stronniczość. Bo przecież instytucje państwa w ciągu #25latwolności, a szczególnie w okresie ostatnich ośmiu lat rozkwitu „demokracji” nie były stronnicze i nie sekowały autorów podejrzewanych o patriotyzm.

Swoją misję Tokarczuk po otrzymaniu nagrody Nike opisała w sposób następujący:

***„...Wymyśliliśmy historię Polski jako kraju tolerancyjnego, otwartego, jako kraju, który nie splamił się niczym złym w stosunku do swoich mniejszości. Tymczasem robiliśmy straszne rzeczy jako kolonizatorzy, większość narodowa, która tłumiała mniejszość, jako właściciele niewolników czy mordercy Żydów...”***

Podczas gdy jest dokładnie odwrotnie. To dzięki takim autorom jak Tokarczuk, ale również Zagajewski czy Gross, oraz wieloletniej polityce „pedagogiki wstydu” Polacy są postrzegani za granicą, ale niestety również często przez siebie samych, właśnie tak jak ich określa Tokarczuk. Wypadałoby zapytać gdzie są instytucjonalne objawy tego „wymyślenia Polski jako kraju

tolerancyjnego”, o których mówi Tokarczuk? Mit Polaka - antysemita, Polaka - oszołoma, z taką satysfakcją pielęgnowany przez Tokarczuk, Michnika, Gazetę Wyborczą, Grossa i innych, jest dopiero nieśmiało odkłamywany. A przed odkłamywaniem jeszcze morze pracy w tym zakresie. Tym bardziej, że środki finansowe, polityczne i „kulturalne” jakie zostały wyłożone na jego budowę, od dawna powodują, że Polacy są postrzegani gorzej od Niemców, co jest kompletnym historycznym absurdem i zwyczajnym prymitywnym kłamstwem. Ale nie w tym rzecz.

Rzecz w tym, że państwo żyje z podatków. Podatki płacą ci straszni Polacy, których Tokarczuk ma za morderców. Państwo ma obowiązek realizowania swojej polityki historycznej i kulturalnej. Nie oznacza to, że Tokarczuk nie ma prawa pisać tego co pisze. Niech pisze. Natomiast Polska i straszni Polacy nie mają tego obowiązku finansować. I tyle.

Cezary Krysztopa